Nr. 1. Lwów, 15. stycznia 1897. r. Wydawnictwa Rok XX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**: tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 10 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półrocznie 25 frank. (4 dol.); rocznie **w Ameryce** połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Z granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Słówko o naszych gimnazjach.

Otrzymaliśmy w kwestji tej pismo od jednego ze starszych i doświadczonych pedagogów, a umieszczamy je dla tego, aby po myśli autora, inne z grona naszych czytelników osoby, które w sprawie tej coś mają do powiedzenia, zachęcić do zabrania głosu. Zapraszając czytelników do wymiany tą drogą swych myśli, postępujemy za przykładem pism zagranicznych, zwłaszcza angielskich, w których istnieje swobodny i godny naśladowania zwyczaj, że we wszystkich ważniejszych kwestjach ogół obchodzących zabierają głos z różnych sfer osoby, których różne stanowisko z jakiego się na daną kwestję zapatrują, pozwala niejednokrotnie rzecz wszechstronnie zbadać, tak że z tego niemały dla sprawy płynie pożytek.

Pedagog nasz pisze:

Bardzo często spotykamy się z surową krytyką i z żalami u publiczności na nasze gimnazja, na profesorów, którzy zdają się niewiedzieć sami, co można i czego nie można od dziecka wymagać, co ono jest w stanie i czego nie jest w stanie zrobić, bez uszczerbku dla zdrowia tak fizycznego, jak i umysłowego. Zarzuty te, bodaj czy nie w $^{9}{}_{10}$ są słusznymi, niezaufanie, które do naszych instytucyj szkolnych rośnie z dnia na dzień, bodaj czy nie całkiem uzasadnione. Braki i niedomagania te widzi nietylko publiczność, ojciec, lub matka, dziecko do gimnazjum posyłający, widzą je nauczyciele gimnazjalni sami, zwłaszcza tacy, którzy synów swoich do gimnazjów posyłają.

Aby się nie rozpisywać szeroko o przyczynach tych niedomagań naszych szkół, nie wyliczać wszystkich źródeł, z których złe wywypływa, dość wskazać na jedno: nasi nauczyciele gimnazjalni mało posiadają wykształcenia pedagogicznego, mało, albo nic nie skorzystali z tego, czego w nowym czasie uczy metodologia różnych przedmiotów, której celem nie jest li samo wyszukiwanie ułatwień pracy uczniów, ale szybsze, pewniejsze i trwalsze kształcenie rozumu, pamięci a nawet charakteru.

Ile złego zaniedbane na tym punkcie wykształcenie nauczycielskie społeczeństwu wyrządzić może, jaką młodzież nasza, a przez to ale społeczeństwo ponosi szkodę, tego na razie ani obliczyć, ani wszelkich ujemnych następstw przewidzieć nie można.

Brak wykształcenia pegagogicznego nauczycieli gimnazjalnych zniechęca młodzież do nauki, pozbawia wykształcenia połowę dziatwy polskiej średnio uzdolnionej, niszczy nawet wysoce uzdolnione dzieci, których właściwości umysłu nie dozwalają się rozwijać szybko, proteguje tę dziatwę, która częstokroć ma pamięć dobrą, za to mniejsze zdolności umysłowe, niszczy siłę inteligencji, zabija samodzielność, nie uwzględnia indywidualności, słowem spacza i koślawi umysły przyszłych pokoleń.

Nauczyciel nie mający pojęcia o metodzie, która dziś za granicą stał się nauką pielęgnowaną tak starannie, jak wszystkie inne nauki, nie potrafi ucznia w szkole czegokolwiek nauczyć — nie zna on sposobów ułatwienia nauki, choć posiada wiedzę w dziedzinie filologii, matematyki, astronomji. Nie umiejąc uczyć, składa cały ciężar na barki ucznia samego, zadając mu całe ustępy do nauczenia się na pamięć w domu.

Zdarza się często, że uczeń wstąpiwszy do gimnazjum, musi zaniechać wszystkiego czego się był dawniej uczył, musi wyrzec się wiele innych nauk, jak n. p. muzyki, języków nowożytnych, których rodzice, widząc, że to co gimnazjum daje, nie wystarcza do ogólnego wykształcenia, działając w interesie dziecka bardzo rozumnie, chcieliby je wyuczyć.

Pomijając już to, że gimnazja same nie dając pożądanego wykształcenia, uniemożliwiają wypełnienie tych luk nauką prywatną, należy i ten fakt smutny skonstatować, że dziecku zwykle brak chwili, jednej godziny dziennie do odetchnięcia świeżem powietrzem.

W dawniejszych czasach istniały w Polsce instytucje wychowawcze pierwszorzędne, które co do jakości w zawody mogły iść z pierwszorzędnemi instytucjami europejskiemi, nie można więc kłaść tutaj winy na karb braku zmysłu pedagogicznego u nas, na to, że w Polsce na polu pedagogji byliśmy zawsze zacofanymi. Polska pedagogja ma tradycje świetne, do tych tradycyj powinniśmy powrócić, a z pewnością stosunki zmieniłyby się u nas na lepsze.

Ale przyczyn złego nie należy szukać w jednym tylko czynniku od którego postęp ku dobremu zależy. Na nasze instytucje wychowawcze równomiernie wywierają wpływ władza, nauczyciele i ogół społeczeństwa. Niechaj każdy z tych czynników obowiązek swój wypełni a będzie lepiej.

Sądzimy, że najgorzej go wypełnia ogół społeczeństwa. Otóż naprawą złego, szkody z jego strony byłoby, aby w kwestjach wychowania publicznego zabierał głos, doprowadziłoby to do wymiany zdań, doświadczenia, które robią rodzice z dziećmi w domu powinni zakomunikować nauczycielstwu, nauczycielstwo mogłoby wpłynąć na władze i złemu zaradzić.

Niechaj więc ten, kto ma także coś do powiedzenia ze zdaniem swem wystąpi i niechaj w kwestji tej tak ważnej, rozwinie się dyskusja. Taka dyskusja z pewnością bezowocną nie będzie, a ze wszech miar pożądana.

X. J.

Sprawy bieżące.

— *Łechtaczka dziennikarska.* Z prawdziwą przykrością przychodzi nam pisać te słów kilka w sprawie, która chyba inaczej nazwać nie można, jak zużytkowywaniem drukowanego skandalu dla marnego zarobku.

Ciężkie czasy, zapewne, pod wieloma względami, dają rozgrzeszenie — ale, jednak, nie wszystko można i godzi się poświęcać reklamie i z cudzego spokoju, czci i krzywdy wysmarzać sobie zarobkowe kiełbasy.

A już mordowanie kobiety w artystkach, czy aktorkach dla wykrzywienia gęby do śmiechu u głupców i gorszych jeszcze od nich, filistrów, marnem jest... Od szlachetnej i życzliwej duszy mężczyzny, czy on szlachcic, czy chłop, odskakiwać to powinno, jak djabeł od święconej wody...

Szturchać ciągle reklamę po łbie, kopać ją w plecy, aby z zapienioną gębą biegała wśród ludzi i z kobiecej czci i wstydu, znosiła grosze do dziurawej kieszeni — czy to także ma być walka o byt?..

I doprawdy — robi to u nas, nie tyle zła wola i zepsucie, ile ta swawolna łechtaczka dziennikarska, która, niestety, coraz częściej, zastępuje teraz temperament literacki i drobne talenciki ścierą na proszek do cudzych zębów — ale źle się robi... I dziwna rzecz: robi się źle, to złe nurtuje i wyrządza krzywdy — a ci, co te złe robią naprawdę nie są źli. Szelma ta łechtaczka dziennikarska!...

Ale załechtać się można i na śmierć...

A szkoda umierać, kiedy się jeszcze człek śmiać może i umie..

— *Odczyt prof. dra. Głąbińskiego.* Jak wiadomo z dniem 1. stycznia 1898 r. wchodzi w życie nowa ustawa podatkowa, która uchwalona przez parlament uzyskała już sankcję monarszą. Owóż, chcąc radę miejską zaznajomić z przepisami nowej ustawy, członek tej rady, znakomity nasz ekonomista prof. dr. Stanisław Głąbiński, wygłosił w zeszłą sobotę bardzo zajmujący i wielce pouczający odczyt. Prelegent jasno i zrozumiale omówił nową ustawę, która zaprowadza nowy, dotychczas nieznany podatek osobisto-dochodowy i wykazywał jaki ona wywrze wpływ na ukształtowanie się dochodów państwa i na dochody miasta, które sporą część na pokrycie swych wydatków czerpie z dodatków do podatków państwowych. Nadwyżka z tego podatku ma być rozdzieloną między kraje reprezentowane w Radzie państwa, na obniżenie podatku gruntowego. Skorzystają więc z niej wła-

ciciele gruntów, miasta zaś, czerpiące dochód z dodatków do podatków, będą miały dochody mniejsze Dr. Głąbiński przeto radził, aby reprezentacja miejska wcześnie poczyniła kroki, by z powodu zaprowadzenia tego podatku nie poniosła żadnego uszczerbku. Odpowiednie też wnioski uchwalono, a prelegentowi za jego znakomity odczyt hucznymi podziękowano oklaskami. W przyszłych numerach naszego pisma zamieścimy o nowej ustawie podatkowej obszerny artykuł i zaznajomimy czytelników z jej przepisami i wymaganiami.

= *Bankructwa teatralne w Stanisławowie.* Ze Stanisławowa donoszą nam, że tamtejsze Towarzystwo im. Moniuszki, a właściwie przedsiębiorstwo, które wybudowało teatr dziwne zajęło stanowisko wobec sceny polskiej. Od czasu, gdy salę teatralną w tym gmachu wypuszcza w dzierżawę dyrektorom teatrów polskich, bankrutuje po kolei każdy dyrektor ze swoimi wspólnikami. Warunki dzierżawy są tak wygórowane, że przy najusilniejszej pracy i nawet włożeniu dość znacznych stosunkowo kapitałów, nietylko przedsiębiorca przedstawień teatralnych polskich nie może związać końca z końcem, lecz popada w deficyt i przerywać musi przedstawienia. Panowie od budowy tłómaczą się tem, że mają ciężary na gmachu i że muszą dotrzymywać zobowiązań. Najprzód po co było budować gmach i przyjmować na siebie zobowiązania, których dopełniać nie można, a jeśli się ich dopełnia kosztem bankructwa dyrekcyj teatrów, to wyrządza się krzywdę sztuce polskiej, którą gołe mury gmachu nie naprawią. Ś. p. Kwieciński tak idealnie pojmował swoje obowiązki jako dyrektor teatru, że panowie ci już wówczas powinni się byli zorjentować w sytuacji i ułatwić mu jego uczciwą i pożyteczną pracę — doprowadzili go jednak do bankructwa, a tragiczny koniec tego zacnego człowieka i znakomitego artysty wiadomy... Po nim wyszli z torbami utalentowani artyści i dyrektorowie pp. Jaworski i Antoniewski — teraz robi bokami pan Recki... Jak tak dalej pójdzie to gmach teatru w Stanisławowie zamieni się na jakiś szpital teatralny z którego korzystać będą mogły chyba... przedsiębiorstwa pogrzebowe.

Nie wiemy do kogo to należy, ale zdaje nam się, że tamtejsza Rada miejska powinna wejść w tę sprawę i jakoś ją uporządkować — przyjdzie bowiem do tego, że pojawią się ostrzeżenia, aby żaden z prowincjonalnych dyrektorów teatru polskiego nie zawadzał o Stanisławów, bo dla jego przedsiębiorstwa gotowe są zawsze: trumna i grób...

= *Paszkwil.* Dzienniki warszawskie doniosły, że w Warszawie ukazał się na widok publiczny paszkwil w formie niewielkiej książeczki wydrukowanej w Krakowie, a ocenzurowanej w Petersburgu i tamże oddany na główny skład księgarni Grendyszyńskiego, Paszkwil ten nosi tytuł; *Stara i młoda prasa*, a wydany został bezimiennie. Mimo anonimowego pochodzenia, odkryto jednak, o czem doniosły pisma tutejsze, że autorem paszkwilu tego jest niejaki p. Walery Przyborowski, redaktor smutnej pamięci *Chwili*, która w krótkim czasie zgasła z jego reputacją i wszelkiemi nadziejami robienia interesów na polityce pod rządem rosyjskim. Paszkwil wyżej zatytułowany, jest stekiem oszczerstw i kłamstw, a tyle jest w nim tego, ile wierszy w tej bezczelnej książeczce, pisanej zresztą językiem przypominającym żargon złodziejski. Wszystkich pracowników pióra występujących w ruchu literackim w kilka lat po wypadkach w 1863. roku w sposób bezczelny, brutalny i kłamliwy oczernił pismak paszkwilu i jednym zamachem pozyskał sobie ogólną bezwarunkową i bez żadnych zastrzeżeń pogardę.

Na razie poprzestajemy na tej notatce, gdy jednak zgromadzimy potrzebne materjały, zajmiemy się bliżej autorem paszkwilu. i podamy o nim bardzo ciekawe szczegóły, a będą one zarazem najdokładniejszą fotografją tego rycerza przemysłu, który wprawdzie nie zaprowadził go daleko, ale zaprowadzić go może... wysoko.

W tym czasie odbierzemy z Warszawy dokładniejsze informacje i zaraz też z nich w całej rozciągłości i z całą bezwzględnością skorzystamy.

„POHANA DEBRA".

Powieść z życia hucułów

napisał

T. Czesław Łukawski.

I.

Gościniec pocztowy, biegnący ze Stryja ku granicy węgierskiej, przerzyna z razu rozległą nizinę w prostym, jakby sznurem wytyczonym kierunku. Twardym rzecznym, żwirem wysypany ciągnie się wzdłuż najburzliwszej najzmienniejszej z rzek galicyjskich, wzdłuż Stryju. Po obu jego bokach rozsiadły się nieprzejrzane łany złocistego zboża, długie zagony jarzyn, wiatrem kołysane wciąż coś szemrze, coś gada ze sobą, coś, czego nie każdy zrozumie. Dobiegłszy tak do wsi Synowódzka niższego, przerzuca się drewnianym mostem przez warczącą rzekę, którą nagle spiętrzone skaliste brzegi gdzieś w prawo rzuciły za góry, po za ciemne bory świerków i jodeł. Biedak pnie się teraz, wdziera na wzgórza, przeciska z tudem to w prawo, to w lewo w parowy, na strome urwiska, aby z nich stoczyć się znowu w kotlinę i dalej swym wężowatym podążyć szlakiem. Ukochał on snać szum zagadkowych wirów Stryja, bo i tu, choć z nim się rozstać musiał, zbratał się jednak z dziecięciem jego, z Oporem, który przewalając swe wody przez skały i głazy na dnie rozrzucone, toczy je tuż przy nim pod most, aby zasilić fale dniestrzańskiego dopływu, Minąwszy miasteczko Skole i parę wiosek, co się garną ku niemu, oparł się zmęczony u podnóża olbrzymiej, brzuchatej góry na szerszej nieco kotlinie; zdawało się, że utonął w niej, że się zgubił w ogromnem jej łonie, lecz nie, on opasał tylko bok jej szerokiem półkolem i pobiegł dalej między sine lasy i wysokie przepaściste jary. Nie będziemy śledzili dalszego jego biegu, lecz zatrzymamy się na jego skręcie w kotlinie.

Kotlinę tą przerzyna obok gościńca, jak kryształ czysty potok Orawa, zwany przez lud tamtejszy Orawycią, po którego lewym brzegu ściele się niewielka murawa. Po za nią piętrzą się już wysoko wybiegłe góry, opasując dokoła dolinę. Mrocznym, ciemnym borem pokryte, kąpią się ich szczyty niemal zawsze w gęstej białej mgle, która w dnie słotne nawet ich grzbiety zasuwa, zaścielając podnóża, całą kotlinkę z rzeczką i gościńcem. Ale niechno słońce te tumany oparów przedrze, mgła zwolna opadnie, wtedy roztacza się przed oczy widok wspaniały i rozkoszny. Góry wyłoniły się z swych mętnych welonów, na wierzchołkach zielenieją małe polany i hale, krople rosy niby brylanty świecą na szpilkach gałęzi drzew, a słońce złocąc ich szczyty, tonie w lekko pomarszczonem zwierciadle rzeczułki, której z pluskiem po kamykach toczące się fale, zdają się odrywać jego iskierki i tworzyć z nich srebrzystą wstęgę na wodzie rozpostartą. Cała przyroda wre życiem, przyobleka się w cudną krasę. Z gęstego poszycia leszczyny i malin rozlega się wesoły świergot ptasząt. Dzięcioł niemiłosiernie kuje korę smereka, jarząbek samiczkę gdzieś wabi w jałowcu. Z hal dolatuje przeciągły smętny głos fletni pastuchów, tysiącznem echem rozbiły o skały. Woń balsamiczna żywicy przepaja powietrze.

W miejscu gdzie kotlina się poczyna, a góry szerzej rozstępują, rozlewa się Orawa w małe, podłużne jeziorko, sztucznie ręką ludzką utworzone. Na obu jej brzegach wzniesiono wysokie nasypy z ogromnych głazów granitu, wzmocniono je grubymi wbitymi w dno palami i nałożono pniakami i kłodami jodeł i świerków. Podobny wał, tylko silniejszy jeszcze, ułożony nieco niżej w szerz rzeczułki, tamuje rączy bieg jej nurtów. Potok ujęty nagle w karby, tworzy w korycie tem głębią dość znaczną, woda zaś przewalając się przez sterczące kłody i kamienie, spada kaskadą, z szumem do dalszego swego łożyska. Wąskie koryto z desek uprowadza wodę z zatamowanego wyniesienia przez murawę na dwa wielkie koła tartaku, ktory tylną stroną oparty o skalistą ścianę granitu, przednią zwrócony jest ku mostkowi, wiodącemu przez rzeczkę do gościńca.

Tylko, że koryto, jak i tartak w stanie spustoszenia, przykry sprawiają widok. Na wielkim budynku z drzewa, pokrytym gontem dach świeci dziurami, odsłaniając nagie krokwie; ściana jedna spaczona, niemal, że w ziemię zapadła, zamiast okien czernieją jeno otwory, jakby strzelnice, Jedno koło u boku budynku pleśnią i grzybem pokryte w korycie, drugie z potrzaskanemi skrzydłami grozi lada chwila runięciem ze swej osi. Dokoła tartaku gniją kupy belek i tarcic, kiedyś nawiezione, lub leżą porozrzucane kłody i deski. Woda z koryta, mimo założonej zastawy, wdziera się przez dziury, wlewając się swobodnie po trawniku.

Tuż za tartakiem wybiegła aż pod chmury wspaniała, poważna góra, Czerwonym Ługiem zwana, zasłaniając swym grzbietem ustronie to od burz i wichrów. Ciemny las świerkowy na jej stoku, przedziera u podnóża zrąb nieduży, na którym widnieje mała chatka, niby gniazdo jaskółcze, przytulona w załomie skały. Chatka, słabem ogrodzeniem z chróstu okolona, nie wyróżnia się bynajmniej od innych chat góralskich. Tak samo zbudowana z kłótego siekierę drzewa, na podmurowaniu z nie ciosanych kamieni, ze strzechą słomianą, z nowem poszyciem, czystemi okienkami i małym ogródkiem przed nią, w którym rośnie parę plonek śliwowych, malwy, groszki, barwne maki, a nawet polne, pąsowe georginie, odbija jednak dziwnie od tego smutnego otoczenia, które wskazuje, że życie, jakie tu kiedyś istniało, teraz zamarło zupełnie.

Zacisze to samotne, ustronne, odległe od właściwej wsi o jakie pół godziny drogi, nazywają górale tameczni, a nawet mieszkańcy okolicznych szatr: „Pohaną Debrą."

Zapytany góral o powód tego nazwania patrzy na nas przez chwilę, jakby nas nie rozumiał, poczem wstrząsa poważnie głową, spluwa przed siebie, żegna się nabożnie i tajemniczo odpowiada: — Alboż to did'ko*) mało tam nahasał, małoż na tej polanie czarów dokazał?

I rzeczywiście. Chcąc dać wiarę wszystkim złowrogim wieściom i podaniom, krążącym w ustach ludu tego o Pohanej Debrze, należałoby uważać miejsce to za zaklęte od Boga, miejsce sprowadzające nieszczęście tylko na tego, któryby chciał osiedlić się na niem.

Najstarsi górale we wsi pamiętają jeszcze, że stało tu dawnymi czasy więcej chat zamieszkałych. Mieszkańcy ich żyli długie lata zgodnie obok siebie, pomagali sobie wzajemnie, pasali swe trzody kóz i owiec wspólnie na połoninie Kremeniecu [1]). Aż raz poswarzył się w rodzinie syn z ojcem o zagon owsa. Syn ożeniwszy się, nie chciał już ścierpieć władzy starca nad sobą. Gdy obaj na tym zagonie owies rżnęli, rzucił się zapamiętały na starca i sromotnie go zabił siekierą. Trupa zakopał i ukrył pod kupą głazów. Odtąd Bóg mści się za przelaną krew ojcowską. Zabójca, nie mogąc znieść widoku grobu swego ojca, poszedł na granicę węgierską i został przemytnikiem tytoniu. Schwytany raz na obławie z innymi przez strażników, zawisł na szubienicy w Mukaczu [2]), gdyż i zbrodnia jego na jaw wyszła. V tym samym roku przyszła cholera i wymiotła wszystkie rodziny tych chat, podczas, gdy we wsi tylko kilka osób umarło. Nikt nie miał odwagi zająć opuszczonych zagród. Powoli zapadły się one w ziemię, burza je powaliła, poskręcała i polanka znów była głuchą. Sowy tylko żałośnie nocą na niej wyły, bies wiódł opętane tany n podnóża Czarnego Ługu.

Jakoś w lat parę potem, przybłąkał się aż hen z samborszczyzny łapciarz odbudował chatę pod borem, postawił przed nią piec z kamienia i nuż wypalać potaż, krzesać osełki i wyrabiać klepki. Szło mu to z niemała przez zimę, aliści z wiosną Orawa strasznie wezbrała unosząc jego chatę do szczętu., że ani śladu

---

*) Djabeł.

[1]) Kremeniec, Czarny Ług, Paraszka, nazwy gór

[2]) Miasto na Węgrzech.

po niej nie zostało. Nazajutrz, skoro rozhukany żywioł nieco się ułożył, znaleźli go ludzie spławiający belki na wezbranej rzece wyrzuconego na brzeg murawy, martwego, skostniałego. Nie długo po nim przywędrowali cyganie z Węgier, rozłożyli swój tabor na równinie, poustawiali szatry. Czego tam szukali, Bóg raczy wiedzieć, albowiem mieszkańcy wsi nie mieli żadnej z nimi styczności. Aż tu wkrótce po ich przybyciu padła dziwna zaraza na bydło i owce. Kobiety widziały skradającego się wieczorem z poza obory cygana, który widząc, że spostrzeżony, umknął w lasy. Niechybnie cyganie truli bydło. Wójt tedy z dwoma radnymi poszedł do ich obozu, wzywając, aby niezwłocznie opuścili polanę. Banda stawiała opór. Przyszło do krwawej bójki, w której wójt cęgami ugodzony w ciemię, padł trupem na miejscu. Drudzy pokaleczeni ledwie że do wsi się dowlekli. Cała gromada uzbroiła się w siekiery i drągi, aby pomścić krew swego opiekuna. Przyszedłszy atoli na polanę, nie zastali już cyganów, szatry tylko puste i ogniska tlejące jedynym po nich były śladem. I daremnie także puścili się górale w pogoń za nimi, bo i któż kiedy dopędzi cygana, uciekającego przez lasy? Nikt już teraz nie ważył się stanąć nogą na przeklętem miejscu. Górale nawet, pędzący z wiosną owce na hale Czarnego Ługu i Paraski, omijali ten most na Orawie i Debrę, choć im droga tamtędy najkrótsza. I długie lata stało ustronie pustkowiem.

Gmina postawiła na miejscu, na którem wójt życie utracił, wielki krzyż z jaworu, lecz już pod jesień szalała burza, krzyż przewróciła, a most na rzece z posady zerwała. Ludzie jadący gościńcem, widywali nocą zielone ślepie upiora, co niby stado zgłodniałych wilków wył na Debrze w przeraźliwe głosy. A cóż było z niemcem, który w lat kilka przybywszy zakupił od gminy Debrę, aby postawić na niej tartak, rżnąć deski i gonty? Napróżno mu gromada odradzała szalonego przedsięwzięcia. Niemiec był uparty, śmiał się i plótł coś o zabobonach. Założył tamy na rzece, postawił tartak, most odbudował. Nie spuścił jeszcze z gór całego zakupionego drzewa na materjał aż tu nagle i ogień wszczął się w tartaku, a podsycany wichrem, jaki się nagle zerwał na Czarnym Ługu, obrócił w perzynę drewnianą budowlę. Niemiec się wściekał, posądzał, że go podpalono, ale któżby tam chciał wyrządzać tak straszną krzywdę bliźniemu? Ot, wyraźnie sprawa nieczystego ducha. Tartak odbudował, piłę puścił w ruch, tylko, że robotnika nie było. Nikt ze wsi, a nawet z okolicy, lubo gonciarz dobrze płacił, nie ważył się stanąć do roboty — niebyło komu spuszczaś belek. Niemiec widząc zaciętość górali, sprowadził kilku robotników z daleka. Szło mu to czas jakiś, nawet dobrze. Deski i gonty spławiał, gdy rzeczka narosła do Oporu i dalej, aż do Stryja. Aliści did'ko wdał się w tą sprawę. Nieszczęścia spadały na niemca jedno za drugiem: Najpierw umarła mu żona, jednemu robotnikowi przecięła piła nogę, tak, że nieszczęsny wśród okropnych skończył boleści, drugi utonął z wiosną w Orawie, gdy tratwą chciał spławić drzewo. Inni przerazili się do żywego i gdzieindziej poszli szukać chleba. Niemiec daremnie zabiegał za ludźmi, za żadne skarby nikt by teraz doń w służbę nie poszedł. W końcu straciwszy majątek, opuścił tartak i Debrę i powędrował gdzieś pewno z torbami. Tak, tak, ręka Boska dotyka to miejsce!

Albo Jow stary? Źle mu to było we wsi między drugimi. Zachciało mu się służby u niemca. Wieś porzucił, zbudował chatkę na polanie za tartakiem i pilnował piły i spławu. I cóż? Kłoda go raz przywaliła, a pod jej ciężarem ducha wyzionął. Zostawił wdowę Praksedę i córkę Oksanę, ładną dziewoję. A szkoda biednych sierót, nieszczęście już ich dotknęło, ale Bóg je bardziej jeszcze pokarze, jeżeli nie opuszczą tej chaty i Pohanej Debry.

I góral długo o tem i szeroko opowiadał, upatrując w tych nieszczęściach sprawę nieczystego ducha. I daremnie chcielibyśmy odwieść go od tego przekonania, daremnie dowodzić, że to wypadki nieszczęśliwe, które i na innem miejscu się zdarzają. Kiwa on tylko z niedowierzaniem głową i trwa w swojem mniemaniu.

Trafnem jest przysłowie: uparty jak rusin, ale stokroć upartszym jest rusin hucuł, aniżeli mieszkaniec równin. Z natury pracowity, trzeźwy, uczciwy, pobożny, pełen jest jednak przesądów i zakorzenionych zabobonów.

(D. c. n.)

Nie umieramy, lecz sami się zabijamy

Jak często, niestety, wypada dzisiaj myśleć o zdaniu znakomitego lekarza Flourens'a, członka francuskiej akademji medycznej, twierdzącego, że ludzie w naszych czasach nie umierają, ale się sami zabijają. Istotnie, kto głębiej zastanowi się nad temi słowami, przyzna, że zawierają niezbitą prawdę. Na uwiąd starczy umiera w naszym nowomodnym czasie mało tylko ludzi — większa zaś część zadaje cios życiu swemu, podkopując swe zdrowie.

„Bóg przeznaczył człowiekowi żyć w zdrowiu i sile i powoli dopiero wskutek starości, powrócić na łono ziemi". mówi Newton.

W przyrodzie każdemu stworzeniu przeznaczoną jest śmierć lekka i łagodna przez stopniowe zanikanie wszelkich narządów. Czyżby człowiek, to arcydzieło Boskie, miał tu stanowić wyjątek! Otóż, znakomici lekarze angielscy dr. Smitt i dr. Arnott, wezwani przez rząd, aby zdali sprawozdanie co do trwałości życia ludzkiego, tak się w tym względzie wyrażają: „Gdyby ludzie żyli tak, jak powinni, nigdyby ich, od kolebki aż do grobu, ani choroby, ani cierpienia nie nawiedzały i mogliby żyć długo w spokoju i wesołości ciesząc się zawsze zdrowiem, a szczęście ich nie byłoby niczem zamącone; siły ich żywotne zaczęłyby powoli wreszcie słabnąć, niknąć i zasypialiby bez boleści i bez konania snem wiecznym." Wiemy także z doświadczenia, że starcy nad 80 — 90 lat umierają zwykle bez choroby, bez drgań i kurczy, często nie tracąc wcale koloru twarzy — umierają oni na uwiąd starczy. Zdaje się, jakoby jeden dzień w życiu ludzkiem prawie nic, albo tylko mało co się odróżniał od swego poprzednika i następcy, a mimo to, przechodzimy, nie zatrzymując się, 4 pory naszego ziemskiego jestestwa: wiek d z i e c i ę c y, m ł o d z i e ń c z y, d o j r z a ł y i s t a r c z y — wiosnę, lato, jesień, zimę — a śmierć nie zapomina o nikim.

Gdy człowiek pomiędzy 30-tym, a 45-tym rokiem życia stanął na najwyższym szczeblu swego ukształtowania, wtenczas przychodzi powolny zestęp. U jednych rychlej, u innych zaś później tracą swą sprężystość ścianki naczyń krwionośnych, kruszeją przez układające się tamże sole wapienne, włosy zwykle siwieją, skóra więdnieje i marszczy się, mięśnie wątleją, działalność narządów słabnie, a okulary, laska i wygodne krzesła stają się podporą znikającej siły. Stopniowo i powoli obumieramy, aż pewnego dnia gaśnie błogo płomyk już tylko słabo tlącego życia.

Ale jak szczupłą jest liczba tych, którzy w tak naturalny sposób życie swe kończą! „Kres wieku naszego jest lat siedmdziesiąt a najwyżej ośmdziesiąt", śpiewa psalmista. Jednakowoż niewielu ludzi dosięga dzisiaj tego wieku. W Niemczech n. p. tylko 18 procent dosięga wieku naturalnego, 82 proc. zaś umiera przed czasem. Obecnie przeciętny wiek ludzki trwa ledwo połowę naturalnego, u mężczyzn 35 i pół, u kobiet 38 lat. Uwzględnić w tem trzeba, oczywiście, wielką śmiertelność dzieci. Otóż, umiera w pierwszym roku życia przeszło 30 proc. dziatek, a w niektórych okolicach przemysłowych nawet 40 prc. Kto pierwszy rok życia przebył, ten może przeciętnie liczyć jeszcze na okrągło 46 lat życia, tak samo, jak ten kto przebył 10 rok życia. Takie obliczenie przeciętnego życia ma szczególną wartość dla towarzystw zabezpieczenia na życie. Dowiedziono tamże, na podstawie materjału w przypadkach milionowych, że młodzieńcy i dzieweczki 20 lat liczący, jeszcze 38 dalszych lat przeciętnie przed sobą mają, mężczyzni i kobiety w 30 roku jeszcze 31 i pół, 40 letni jeszcze 24 i pół, 50 letni jeszcze 18, 60 jeszcze 12, 70 letni 7, zaś 80 letni 4 lata, a kto nawet 90 lat dożył, może jeszcze liczyć na 2 lata i 4 miesiące dalszego życia.

Ale nie tylko wiek przeciętny stale się zmniejsza. O wiele smutniejszem jest stwierdzenie, że liczba zachorzeń ciągle i coraz bardziej wzrasta. Oóż, widzimy tu jedną z głównych prawd przyrody. Natura stara się wszelkiemi siłami o jak najdłuższe utrzymanie każdego stworzenia. Nie przecina ona za każdy występek natychmiast nici życia, ale wytwarza np. większą gorączkę, przez którą materje obce się rozkładają i następnie z ciała wyrzucone być mogą w kształcie wrzodów, obrzmień, opuchlin itp. Jestto charakterystyką naszego cywilizowanego wieku zwyrodnienia, że stany te, nazwane „chorobą," są największym naszym postrachem. Chorób obawiają się ludzie bardziej niż śmierci. U narodów pierwotnych, jako też u zwierząt w swobodzie żyjących, są choroby rzadkimi wypadkami, — pomiędzy ludźmi zaś nowomodnej kultury rzadko kto jest całe swe życie zdrowym. Im wyżej kultura się wzmogła, tem więcej człowiek oddalił się od natury. Od czasu, jak silimy się sztucznie sobie stwarzać pokarm i napój, pracę i spoczynek, a przedewszystkiem *lekarstwo*, szkodzimy sobie ciągle. Nie umieramy już, ale się zabijamy, gdyż „próżne życie jest przedwczesną śmiercią".

Jak dalece wysoką jest liczba wypadków zachorzeń, widać z ostatniej statystyki zabezpieczenia na wypadek choroby w państwie niem. z r. 1794. Na 7 milionów 282,609 robotników, zabezpieczonych w 21.552 kasach było 2 miljony i 492,308 zachorzeń. Na każdego zaś członka przypadało 6 dni choroby, co stanowi w całości 43 miljony i 686.440 dni roboczych. Na same lekarstwa wydano w tym jednym roku 17,430,000 marek. A zatem w Niemczech pożera choroba rocznie przeszło miljard marek. U nas polaków stosunek ten prawdopodobnie jeszcze gorzej się przedstawia. Jestto zatem rzeczą największej doniosłości, zastanowić się nad przyczynami faktów tych, siłę narodu tak bardzo niszczących.

Choroby nie są złem nieuniknionem: nie jest to bynajmniej smutną koniecznością, że n. p. w Niemczech obecnie pięć ćwierci miljona, a w samym tylko Berlinie 25,000 suchotników się znajduje. Choroby nie są dalej niczem nadprzyrodzonem, jak wielu jeszcze sądzi, są tylko skutkami przestąpienia praw przyrody. Atoli nieznajomość w tym kierunku jest po dziś dzień niezmiernie wielką. Nawet pod względem najpotrzebniejszego zdrowoznawstwa panuje jeszcze ogromna ciemnota i to nawet u „oświeconych". Cywilizowany człowiek na schyłku 19 stulecia zna prawie lepiej wnętrze Afryki, niż wnętrze swego ciała, Błędy w wychowaniu cielesnem dzieci, od niemowlęctwa począwszy: w wyborze środków spożywczych, w ubiorze, w urządzaniu pomieszkań itp., należą, z małymi wyjątkami, do porządku, albo raczej do nieporządku dziennego; kto zaś wytykając te błędy, każe szanować i zachowywać prawa przyrody, ten ma dzisiaj bardzo trudne stanowisko. Większa część ludzi bowiem ma błędne przekonanie, że zdrowia sobie kupić można z apteki, albo też u jakiego sławnego lekarza. Tymczasem, cała sztuka przedłużenia życia polega na tem, żeby go nie skracać. Wszelkie uchylenie się od naturalnych warunków życia, pociąga za sobą przeszkodę w naturalnym biegu żywota naszego. Zakres działania trucizn jest co prawda bardzo obszerny, a wyrozumiała przyroda stosuje się często widocznie do obcych i zwykle szkodliwych tych rzeczy. Wiemy np., że król Mitridates, ze strachu przed otruciem, do tak wielkich dawek trucizny przyzwyczaił się, że 20-ta część tychże zabiłaby zwykłego śmiertelnika; to samo dzieje się z morfinistami, zjadaczami arszeniku, palaczami opium i tytoniu, jako też piwoszami i „sznapsistami." Wszystko ma, jednakże, swą granicę, a przyczyn chorób nie możemy rozpoznać i tym zapobiedz, jeśli nie poznamy warunków zdrowia.

Otóż to powinno być właśnie celem dążeń naszych. Rozpoznanie zaś prawdy i praw

rządowych ustrojem człowieka, aby można należycie wypełniać rozkazy przyrody — musi być najpierwszą powinnością każdego, kto nie chce się stać samobójcą.

Cz.

Uśmiech przez łzy.

OBRAZEK.

Zima. Noc wigilijna, mroźna, wietrzna a ciemna zasypuje piękną równinę Podlasia tumanami śniegu, wykręca nim w powietrzu i niesie w dal z głuchym poświstem.

Droga równa, słabo oświecona przedzierającymi się przez tumany śniegu błyskami gwiazd. Z dala dolatuje dźwięk dzwonka pędzących w cwał sani. Pozna go każdy mieszkaniec Podlasia. Przed dźwiękiem tym gasną światła po domach, a dzieci tulą się trwożnie do matek.

O, bo też biada domowi, przed którym ucichnie odgłos tego dzwonka! Za chwilę pewno w progi jego wejdzie okutany w niedźwiedzie czynownik, częsty zwiastun coraz to nowego nieszczęścia, hojną dłonią rozdający zsyłki, kontrybucje lub więzienia. Teraz dzwonek, szybko prującej powietrze trójki, wydaje głos dziwnie rzewny, jakby płakał nad losem nieszczęśliwych, jęczy, jak gdyby serce jego żelazne czuło, że dzwoni dla nowej ofiary gwałtu czynowników. ofiary znajdującej się na tylnem siedzeniu sanek w towarzystwie uzbrojonego żandarma.

A nową tą ofiarą jest starzec. Poznasz go po głosie, którym usiłuje przekonać swego towarzysza podróży, stara go się do czegoś namówić. Żandarm milczy zacięcie. W końcu słychać szelest papieru jakiegoś, który przeszedłszy z rąk starca do rąk żandarma, zniknął jak w otchłani w kieszeni żandarmskiej. Silny to musiał być i przekonywujący argument, gdyż żandarm kiwnął głową na znak zgody, a gdy po pewnym czasie zabłysło z po za lasu światełko karczmy przydrożnej, kazał przystanąć i jako nieodstępny towarzysz starca, skierował się do izby gościnnej zajazdu, oświeconej słabym promieniem światła łojówki. Pierwszy wszedł starzec kilkudziesięcioletni. Zrzucił zwierzchni płaszcz i usiadł przy stole Po ubiorze poznać w nim katolickiego księdza. Postawa wyniosła i poważna, a twarz i oczy pełne łagodności i słodyczy. Wsparł się dłonią o stół, głowę pochylił i po chwili łza stoczyła mu się po policzkach i potoczyła się aż na dłoń białą i delikatną. Ciężki bo też i los jego..,

Z pośród rodziny i kochających porwano starca i wtrącono do więzienia za to. że nie zaparł się wiary swych ojców, że nie chciał zaprzedać parafian swoich dla prawosławia, za to, że był katolikiem. I teraz, w noc wigilijną wiozą go jak zbrodniarza pod konwojem uzbrojonego żandarma, wiozą do prawosławnego biskupa, aby przedsięwziąć nowe próby „nawrócenia“.

Przesuwają się w pamięci starca obrazki z przeszłości, gdy jako dziecię jeszcze siadał do skromnie a czyściutko zastawionego stołu, wysłanego sianem, pokrytego białym obrusem w domu ojca swego, z którego rąk wraz z opłatkiem otrzymywał życzenie, aby: „żył prawdą i dla prawdy“. Szedł też zawsze drogą prawdy, miłości bliźniego, drogą wytkniętą mu przez własne sumienie. Przypomina sobie i seminarjum i poczciwych kolegów, aż w końcu usławszy sobie własne gniazdko, jako ojciec i kapłan szereg lat siadał z rodziną przy wigilijnym stole weselił się z dziećmi przy choinie i śpiewał kolendy....

A dziś....

Wyrwał go z tej zadumy szorstki głos żandarma. Machinalnie wstał, a za chwilę odgłos dzwonków oznajmił, że podróżni się oddalili.

A tam w oddali, pośrodku odwiecznej puszczy, w skromnej chatce plebana, zebrana rodzina zasiada do smutnej zastawy. Nie słychać, jak lat poprzednich, miłego szczebiotu dziatwy, ani wesołego łamania się opłatkiem. Nawet ogień na kominku zapomniany — dogasa. Dziatwa i czeladź skupiona do koła klęczącej matki przed obrazem Bogarodzicy Częstochowskiej, prosi Boga o powrócenie ojca i męża...

Modlitwa przerywana łkaniem, płynęła z pod serc zbolałych, na łzach.. Czy ją Bóg wysłuchać raczy...

Minęło lat dwadzieścia. W gronie dzieci i wnuków rozlegają się w dzień wigilijny rzewne tony kolędy, nuconej przez tego samego starca kapłana, który poświęciwszy swój byt dla wiary i ojczyzny, po długiem tułactwie i niedoli znalazł wreszcie dla pracy i obowiązków kapłańskich gościnne przyjęcie i cichy spokojny kącik, ale po drugiej stronie Bugu, gdzie już łapy czynowników i żandarmów moskiewskich nie sięgają...

J. Mazanowski.

Z drugiej półkuli.

Kurityba (Brazylja).

Od jednego z naszych znajomych, przebywających w Kurityble, otrzymujemy wiadomości o losach wychodźców galicyjskich, którzy z wiosną roku zeszłego przybywszy w dolinę rzeki Ivahy, założyli tam wielką kolonię polską „Prudentopolis“.

Szczegóły, dotychczas, o ile nam się zdaje, nigdzie nie podane do wiadomości ogółu, są tak ważne, a zarazem przerażające, że nie możemy pominąć ich milczeniem.

Stosunki bowiem panujące w kolonii „Prudentopolis“ są bardzo smutne, mimo szczerego zajęcia się nieszczęśliwymi emigrantami i pomocy, jakiej dyrektor kolonii Dr. Arystydes Oliveira w imieniu rządu, nie skąpi naszym biednym ziomkom.

Wyobraź sobie szanowny czytelniku 6 000 osób, wyłącznie chłopów galicyjskich, „którzy czekają na pomieszczenie, zrezygnowawszy już z obiecanego gruntu i pastwisk“, na jaki dali się złapać niesumiennym agentom w kraju plądrującym. Wśród strasznej spiekoty, od czasu do czasu ulewnych deszczów, szerzących choroby, o głodzie, bez zajęcia, straciło wielu nadzieją powrotu do kraju, który tak lekkomyślnie porzucili.

Administracja rządu brazylijskiego, pędzi zdrowszych włościan do roboty dróg w kolonii do piłowania desek i budowy domów, płacąc po 3 milreisy dziennie. Jak zwykle jednak w Brazylii, której rząd nie płaci regularnie, owe 3 milreisy, zamiast gotówki, przybierają postać kredytu w sklepikach dostawców rządowych, którzy rachują sobie podwójnie ceny, traktując emigrantów, jak bydło.

Włościanie-emigranci nie marzą już o chlebie i kartoflach, lecz trawieni gorączką głodu, szukają, jak zranione zwierzęta... sałaty z liści palmowych i szyszek avanharyj!! Obdartych i niechlujnych emigrantów, którzy nie zachowują warunków hygienicznych w klimacie brazylijskim koniecznych, wydobywa wreszcie z niewoli śmierć, będąca jedynie tu ucieczką ratunku.

Od kwietnia do listopada roku 1896.. umarło w ten sposób *sześciuset* emigrantów jakkolwiek żadnej nie było epidemii, w ostatnich czasach śmiertelność się zmiejszyła, mimo to nie ma jednego dnia bez pogrzebu.

Oto wierny obrazek z życia wychodźców w „Prudentopolis“ — oby był przestrogą dla innych obałamuconych włościan, którzy szukając za oceanem szczęścia, znachodzą... „śmierć głodową“.

Ciekawe rzeczy.

* *Prawdziwy raj dla kobiet* panuje na wyspie Sumatrze. Kobiety posiadają tam wszystko, czego tylko zapragną. Mężczyzna może się z żoną swą rozwieść, musi jej atoli zwrócić nienaruszony jej kapitał. Rozwody są atoli dosyć rzadkie, być może dla tego, że mąż z żoną pod jednym dachem nie mieszka. Mieszka on osobno i tylko odwiedza swą żonę, jak narzeczony. Z dzieci, syn od 4 roku idzie pod wyłączną opiekę ojca, córka pozostaje przy matce aż do wyjścia zamąż. Gdy się to stanie, dobudowują dla niej przy domu matki mały domek. Gdy mąż umrze wdowa zawiesza u drzwi swoich chorągiew. Dopóki wiatr nie rozedrze tej chorągwi, nie wolno wdowie wyjść powtórnie zamąż. Dla tego kobiety Sumatry robią te chorągwie z bardzo lichego materjału, aby wiatr co prędzej je rozdarł.

* *Kraj bez niedzieli.* Chiny nie znają niedzieli, ani nie mają w szeregu dni tygodnia takiego dnia, w którymby pracę zostawiali, a modlili się i odpoczywali. Mają oni swoje rozmaite święta i te obchodzą wedle śmiesznych swych zwyczai. Takiem świętem dla nich, jest tak zwane „święto uroczych łodzi“. — Początek temu świętu dało następne zdarzenie: Za bardzo dawnych czasów panował w Chinach niesprawiedliwy i niedobry król Ts'u. Minister jego Kü-Yuan, począł rozgłaszać niesprawiedliwość króla i przez to utracił łaskę. Oddalony z dworu króla, napisał na niego wiele rzeczy, przez co go tak prześladowano, iż utopił się z rozpaczy. Odtąd te rocznicę śmierci w całych Chinach obchodzą uroczyście, odbywają wtedy wyścigi na łodziach. Łodzie są nadzwyczaj długie, na jednej siedzi 50 ludzi parami, ci wiosłują. Jeden stoi na przodzie i sypie na wodę ryż. Ten ryż ma złe duchy oddalać. Przytem jest krzyk i hałas nie do opisania. Największe hołdy od chińczyków odbiera bożek bogactwa. Kto pragnie sobie zaskarbić łaski tego bożka, ten w dzień jego święta składa mu liczne ofiary. Na placu targowym w dzień święta tego bożka, odbywa się uroczystość armaty. — Drewniana, wielka armata, lekko prochem nabita, stoi lufą do góry. Lufę przykrywa trzcinowy krążek, zapalony proch wyrzuca krążek do góry, a cały tłum rzuca się, by go złapać. Kto go złapie, stanie się do roku bardzo bogatym. Ile tam jest przytem sińców, bijatyki i krzyku, czy się da opowiedzieć? Chińczycy wyobrażają sobie, że każdy człowiek ma trzy dusze. Jedna ulatuje z ziemi po śmierci człowieka, druga zostaje w mogile, trzecia jest w nagrobku. W święto umarłych, które chińczycy obchodzą na wiosnę i w jesieni, przynoszą oni na groby rozmaite ofiary, wino, jedzenie, świece i pieniądze papierowe.

* *Kolej zachodnio-syberyjska.* Od 16. października z. r. rozpoczął się regularny ruch na kolei zachodnio syberyjskiej od Czelabińska do rzeki Ob, t. j. na przestrzeni 1323 wiorst. Czas jazdy ma trwać 51 godzin, a cena jazdy ma wynosić 52 rubli, 31 rs. i 20 rs. stosownie do trzech klas wagonów osobowych.

* *Prawdopodobieństwo pójścia za mąż.* Uczony francuz badając z szczególnem zamiłowaniem prawdopodobieństwo pójścia za mąż panien, w stosunku ich wieku, doszedł do takich danych: w latach 14 do 20 prawdopodobieństwo to wynosić ma $14\frac{1}{2}\%$; od 20 25 dochodzi do 52%; od 25--30 spada już nagle na 18%, a w 30—35 na 15%. Potem już coraz gorzej — znacznie gorzej!... Od 35 do 40 pozostaje już tylko $3\frac{3}{4}\%$ nadziei; od 40 do 45 tylko $2\frac{1}{2}\%$: od 45 do 50 tylko $\frac{3}{4}\%$; od 50 do 55 tylko $\frac{1}{2}\%$, aż nareszcie, jak na wstępie do piekła Dantego, wszelka nadzieja ginie.

* *Schyłek naszego wieku* zaznacza się ciągłym, olbrzymim postępem we wszystkich gałęziach nietylko zajęć, ale i zabawek ludzkich a więc i — w *sporcie*. Dziś już łyżwa, łódź i wiosło, bicykl, bal nawet koń nie wystarczają koryfeuszom sportu: sportsmani angielscy i amerykańscy zaczynają jeździć na — lokomotywach! Pierwszym rodzicem tego nowego sportu był książę Southerland, który na szkockich kolejach całe życie jeździł na lokomotywach. Margrabia Downshire, zbudował sobie własną, prywatną kolejkę, żeby mógł dowolnie na lokomotywach harcować. Młodzi milionerzy amerykańscy: Gould, Astor, są wykwalifikowanymi maszynistami. Całe szczęście dla ludzkości, że ten wyspamały sport szeroko rozwinąć się nie może — jak bowiem nie każdy, kto może kupić sobie łyżwę jest w stanie sprawić sobie welocyped, tak nie każdy, kogo stać na kupno choćby dziesięciu welocypedów może sobie pozwolić na nabycie, choćby jednej lokomotywy, Powtarzam, że to całe szczęście dla nas ordynaryjnych śmiertelników; jeżeli nas bowiem tratują cykliści, to cóżby to z nami dokazywali dopiero lokomotywiści, gdyby się zanadto rozplenili!...

Teatr — koncerta — widowiska.

Koncert. Pani Mierzwińska, małżonka głośnego do niedawna tenora, dawała koncert w lwowskim teatrze, w antraktach. Pani Mierzwińska. nazywa się „pieśniarką", a jakkolwiek tego rodzaju śpiewacy nie potrzebują mieć silnego głosu, ale muszą posiadać za to inne zalety wokalne. Tych, właśnie. zalet obecnie pani Mierzwińskiej nie dostaje. Czy ich nabędzie?... Trudno przesądzać. Koncertantka jest ładna i wygląda, jak Niobe, a ta podobno, nie śpiewała...

Opera. Sezon operowy na dobre rozpoczął się. Mieliśmy już *Martę, Łucję* i comme de raison *Fausta.* W tytułowych partjach tych oper. wszystko starzy znajomi. Nie jedną przyjemną chwilę spędziliśmy z nimi na lwowskiej scenie. Talenta to niezwykłe, głosy piękne, umiejętność śpiewania wyborna i rutynowana.

Dość wymienić: Myszugę, Jeromina. Camillowe, Górskiego. Oczywiście, o starych operach, ani chcemy, ani możemy rozpisywać się — wystarczy, gdy nadmienimy, że z głosami wszystko tak, jak było i... nic się nie pochyliło, choć latka przybywają..

Z nowych sił, choć już znana poprzednio, zwróciła na siebie uwagę panna Korolewicz. Głos piękny, liryczny — i dlatego też śpiewaczka powinna przyswajać sobie właściwy repertuar nie doswiadczać się na silnie dramatycznych partjach. Jako liryczna śpiewaczka panna Korolewicz może zajść daleko.

Będziemy mieli w tym sezonie trzy nowe oryginalne opery: Żeleńskiego: *Goplanę,* Jareckiego: *Powrót taty* i Noskowskiego: *Livię Quintillę.*

Bis.

O Cyrkowcach Schoenthana. przedewszystkiem to należy powiedzieć że, gdyby autor polski coś podobnego napisał, to otrzymałby takie cięgi. że musiałby sobie gulardową wodę przykładać do talentu, aby go przyprowadzić do równowagi.

W ogóle ,niemieccy komedjopisarze lżejszego pokroju, w tej właśnie formie scenicznej, wyglądają, jak woły zaprzężone do karety...

Pan Schoenthan, wprawdzie, jest może z nich najwięcej do komedjopisarskiego rumaka podobny — ale *Cyrkowcy* — to jakaś siekanina bez smaku, bez wyrazu -- bez najmniejszej siły talentu napisana.

Wszystko. co w tych *Cyrkowcach* jest — fałszywe jest, a figury kręcące się w sztuce doszczętnie banalne. oprawione w nudne i powszednie sytuacje. Nawet dwie główne postacie: starego klowna i jego córki woltyżerki. tylko dzięki wyrazistej i efektownej grze aktorskiej, zawdzięczają pewne skupienie zainteresowania się niemi.

Pp. Ruszkowski i Czaplińska pierwszy klowna druga ekwilibrystkę Lilli — grali przewybornie i dobrze bronili honoru autorskiego. Z pewnością w Berlinie, lepiej tych postaci nie grają.

Kulawy kochanek w *Cyrkowcach.* bez „jakiejś kostki", czy coś podobnego — jest wprost śmieszny. Nic z niego nie mógł zrobić p. Wosstrowski, bo nie mógł.

Reszta figur, choć między niemi jest hrabina, baron i jeszcze coś tam, i choć grali tacy artyści, jak pp. Cichocka, Gostyńska. Chmieliński. Walewski i Lelewicz — bez krwi, bez kości, bez mięsa -- więc niema co z tem robić talent artystyczny.

Cyrk w 3-cim akcie doskonale był reżyserowany.

Nietensam.

Kinematograf. który się ciągle produkuje przed rozpoczęciem przedstawień dramatycznych w lwowskim teatrze, znalazł powszechne uznanie i podobał się szerszej publiczności. Istotnie są to to obrazy zręcznie inscenowane i bardzo ciekawe z dziedziny dzisiejszych najnowszych wynalazków.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Przeciw bólowi głowy. Jako nowy środek przeciwko nerwowemu bólowi głowy. poleca pewien lekarz w Berlinie i ogłasza w pismach fachowych barwnik anilinowy, metylinowy. błękitny, którego własność zabarwienia rozgałęzień nerwowych na preparatach kilka lat temu skłoniła profesora Ehrlicha do polecenia go jako środka kojącego boleści. Podobno wspomniany barwnik uśmierza boleści, których przy użyciu żadnego innego środka usunąć nie zdołano, nadto gwałtowny ból głowy nerwowy. migrenę, usuwa nie tylko na jakiś czas, ale na stałe. Jakaś kobieta. która z powodu ciągłego bólu głowy dostała czarnej melancholii i dokonała zamachu na życie, bo wszelkie inne środki nie skutkowały. korzystając z nowego środka, wyleczyła się zupełnie, bo napady dawniejsze od lat czterech już się nie powtórzyły. Środek jednak skuteczny jest tylko na ból głowy nerwowy, a stosować go nie należy bez poprzedniej porady lekarskiej.

Zepsute masło naprawić można, jeżeli się je pokraje w cienkie warstwy i wymyje w roczynie soli kuchennej i sody, a potem zostawi je przez 12 godzin w mieszaninie z 125 gramów soli kuchennej, 120 grm. cukru i 4 grm. saletry rozpuszczonej w 1 litrze wody. Następnie wygniata się masło w czystej wodzie studziennej i soli na nowo, używając 30 grm. soli kuchennej zmieszanej z $7\frac{1}{2}$ grm. cukru mącznego i $3\frac{3}{4}$ grm. saletry na $\frac{1}{2}$ kg. masła. Wrobienie tak mieszanej soli w masło zapomocą gniecenia, odbywać należy w miejscu chłodnem.

Najtańsza pasza. Wobec coraz bardziej wzrastającej drożyzny paszy dla inwentarza, spowodowanej bądź nieurodzajem, bądź innymi względami, nie od rzeczy będzie zaznajomić czytelników naszych z nowym rodzajem paszy zasługującej w zupełności na nazwę najtańszej. Nie dotykając innych zalet tego nowego surogatu, jego pożywności i wpływu na zwiększoną ilość mleka u krów, nowy ten rodzaj karmy, ze względu choćby na taniość, zasługuje na szczególną uwagę naszych rolników

Pasza, o jakiej mówimy, jest mieszanina mielonego torfu z melasą. Pierwsi zastosowali ją u siebie niemcy. Podajemy jej przepis przyrządzania.

Cegiełki wyprodukowanego torfu na opał w stanie zupełnie suchym, miele się na miałki proszek najlepiej na śrótowniku i następnie 40% takiego proszku torfowego miesza się z 60% melasy, z czego wytwarza się rodzaj gęstej, do powideł zbliżonej masy. Mięszanina taka stoi przez 12 godzin w celu lepszego połączenia pierwiastków roślinnych torfu z melasą. Tak przygotowaną masę miesza się następnie z sieczką i zadaje inwentarzowi. Stosunek dawek następujący: na jednego konia, wołu lub krowę 10 funtów, owcę i świnię 3 funty dziennie. Przez pierwszy tydzień, zanim inwentarz przyzwyczai się do takiej paszy, należy dawać połowę powyższej ilości. Przy mieleniu torfu trzeba przestrzegać tylko, ażeby do miału torfowego nie dostawał się piasek. który może sprowadzić różne zaburzenia w żołądku zwierzęcia i z tego względu na karmię należy używać cegiełek torfu formowego nie zaś maszynowego, bo ten ostatni ze sposobu swego przygotowania na deskach posypywanych piaskiem, musi większą lub mniejszą ilość tegoż zawierać.

Praca pszczół. Jeden z botaników niemieckich podaje ciekawe uwagi o pracy pszczół. Przygotowując pszczoły w końcu sierpnia do zimowli, ważył ul po ulu, ażeby wypośrodkować, jaka też była praca jego piętnastu ulów. od wiosny obserwowanych. Na wiosnę w kwietniu ważyły brutto 276 kg.. w końcu sierpnia ważyły 468 kg, wykazały więc przybytek na wadze 190 kg. W ciągu lata wybrał z tych ulów 125 kg. miodu, oprócz tego wydały one 10 rojów, które w końcu sierpnia jednocześnie z tamtymi ważone, wykazały wagę 130 kg., co razem czyni przybytku 445 kg. Ile pszczoły przyniosły wody. pyłku kwiatowego i miodu i ile zużyły na swe utrzymanie, trudno ściśle obliczyć. ale przypuszcza, że przenosi wagę przybytku, dającego się skontrolować. Jeżeli się do tego uwzględni, że słodki sok z kwiatów zbierany, zawiera co najmniej 50% zbytniej wody, która się musi ulotnić. żeby z niego powstał miód i że pożytek zbierały z co najmniej 0.5 kilometrowego oddalenia, natenczas można mieć wyobrażenie, jaki ogrom pracy kosztował miód z ulów ujęty i w nich zawarty.

Barwa żółtka jaja zależy od pokarmu drobiu. Jeżeli np. staw po którym pływają kaczki, obsadzony jest dębem, to kaczki mają sposobność karmienia się żołędzia. a wtedy żółtko zgotowane jaja kaczego z powodu barwnika, znajdującego się w żołędzi, przyjmuje barwę ciemną, a nawet czarną, nie tracąc nic na smaku, ani wartości. Zbożem, mąką lub kartoflami wyłącznie karmiony drób wydaje żółtko blado-żółtawe jeżeli zaś kaczki wychodzą na pole, na którem żywią się robakami i w ogóle żyjątkami zwierzęcemi, to przybiera ich żółtko barwę silnie żółtą. Jeżeli kaczki żyją na wodzie słonej i są zmuszone szukać w niej pożywienia. żółtko przybiera barwę silnie czerwoną lub pomarańczową. jaką ma żółtko jaj pochodzących od ptaków morskich. Chcąc mieć żółtko jaj kurzych o barwie pomarańczowej, należy wypędzić kury na pole zatrawione, gdzie znajdą wiele robaków; ten sam rezultat osięgnie się. jeżeli doda się kurom do jadła nieco pieprzu kajenańskiego (Cayennepfeffer).

Wino z buraków cukrowych zamierzają obecnie wyrabiać wyrobem fabrycznym w Rosji. W tym to celu ma się zawiązać w Rosji południowej towarzystwo akcyjne, mające wyrabiać wino z buraków na większą skalę. Będzie to w Europie pierwsze przedsiębiorstwo tego rodzaju. Co do smaku i zapachu, zbliża się takie wino bardzo do win hiszpańskich. Jedyna trudność przy fabrykacji wina z buraków cukrowych, leży w tem, że potrzeba dłuższego czasu, zanim się takie wino sklarnje. Można jednak spodziewać się, że nowoczesna chemia zaradzi złemu.

Nasz ruch przemysłowy i handlowy.

+ Przemysł kuśnierski w Buczaczu niegdyś kwitnący, chyli się obecnie zupełnie ku upadkowi i jeśli ludzie dobrej woli nie pospieszą z akcją ratunkową — przemysł ten zniknie w całości. W Buczaczu żyje około 100 kuśnierzy. Kupują oni skórki owcze od żydowskich handlarzy po cenie za sztukę od 1·50--2·50. Ze skórek tych robią kożuchy i sprzedają takowe w cenie od 7 — 23 złr. Ponieważ kuśnierze buczaccy są bardzo biedni, przeto biorą skóry od żydowskich handlarzy na kredyt, wskutek czego płacą za takowe nader wielkie ceny. To jest właśnie najgłówniejsza przyczyna upadku przemysłu kuśnierskiego. Gdyby kuśnierze buczaccy zawiązali własne towarzystwo celem nabywania surowca i na ten cel z publicznych funduszów uzyskali kredyt — mogliby się wyemancypować z pod przewagi handlarzy i rozpocząć produkcję na szerszą skalę na zbyt. W każdym razie. należy pomyśleć o ratowaniu tej gałęzi przemysłu.

+ Lwowską aptekę pod „Aniołem Stróżem", znajdującą się na ulicy Pańskiej, a która stanowi własność firmy Wł. Tepy. objął w zarząd magister farmacji. p. Ignacy Bojarski, długoletni współpracownik apteki Mikolascha. Pod energicznem i fachowem kierownictwem p. Bojarskiego. jednego z najzdolniejszych naszych farmaceutów. niezawodnie wewnętrzne gospodarstwo tej apteki i liczna jej klientela wiele pozyskają.

+ We Lwowie przy ulicy Kilińskiego l. 2. otworzyło swoje składy płócien i innych tkanin. krajowe Towarzystwo tkackie z Krosna. pod nazwą *Prządka.* Towarzystwo to jest wzorowo prowadzone od r. 1887 i ze względu na swoją pożyteczną działalność. subwencjonowane przez Wydział krajowy. Towar przewyborny i tani, bo ceny fabryczne. Składami *Prządki* we Lwowie, z wielką starannością, umiejętnością i taktem zarządza p. Petter.

+ Na wielką skalę otworzono we Lwowie na placu Smolki mleczarnię z dóbr Przeworskich. Laszki i Borynicze. Przedsiębiorstwo to jest spółką. Nabiał z tej mleczarni wstępnym bojem pozyskał obszerną klientelę, gdyż wszystko, co z niej pochodzi, jest zdrowe. czyste, bez żadnych domieszek. a całe przedsiębiorstwo oparte jest na bezwarunkowej rzetelności.

+ W mieście naszem otworzony został komisowy *Dom dla ziemian.* Zajmuje on się sprawami i interesami. które mają pośredni, lub bezpośredni związek z rolnictwem i przemysłem rolniczym. *Dom* ten może oddać ziemianom rzetelne usługi. Biura jego znajdują się na ulicy Jagiellońskiej.

+ Jedną z najpopularniejszych firm w Galicji. a nawet za kordonem, szczególniej też w Kongresówce, jest niezawodnie krakowska firma Antoniego Hawełki. O zakładzie tym mówią, że nawet... ptasiego mleka tam dostanie. Rzeczywiście. zakład to tak umiejętnie prowadzony, że stał się wzorem i prototypem dla innych. którzy go naśladują, ale jak powiada rusin, „kudy kuchta do patyny". Po za Krakowem wielu nie wie, że założyciel firmy, Antoni Hawełka, przed kilku laty umarł i zostawiwszy różne legata na cele dobroczynne, cały ten zakład pozostawił p. Franciszkowi Macharskiemu, który u nieboszczyka rozpoczął swój zawód handlowy. był później subjektem i pomocnikiem Hawełki, a w końcu jego wspólnikiem. Przed śmiercią jeszcze na lat kilka, p. Macharski był duszą całego zakładu i on go właściwie prowadził, zdobywając mu ciągle uznanie i rozgłos światowy. Firma ta. przeważnie swoje stanowisko zawdzięcza p. Macharskiemu, a dziś, gdy jest jej szefem i właścicielem bez żadnych ograniczeń, energiczną, zacną i fachową pracą uszlachetnia p. Franciszek Macharski ciągle swoje przedsiębiorstwo. które niezawodnie w swoim rodzaju posiada wszystkie cechy europejskiego zakładu. nie mającego sobie równego w największych miastach Europy. Stanowisko też obywatelskie dzisiejszego szefa firmy Hawełki, jest poważne i otaczane powszechnym szacunkiem.

+ Co raz więcej rozwijał się przemysł domowy u nas. Artykuły spożywcze z domowego gospodarstwa, coraz gęściej zapełniają pułki w handlach i sklepach. Domowe przysmaki przyrządzane pięknemi rączkami pań naszych, słynęły zawsze w Polsce całej. W ostatnich miesiącach zasłynęła u nas wódka *Żubrówka*.

Jest to rodzaj nalewki ziołowej, której sposób wyrabiania i sekret posiada księżna Puzynina, która mimo swego towarzyskiego stanowiska, może służyć za wzór pożytecznej pracy i zaradności niewieściej.

Żubrówka, stała się dzisiaj popularnym kordjałem. Dostać jej można we wszystkich handlach, cukierniach, kawiarniach i restauracjach.

Od Redakcji i Administracji.

P. Stanisław Leszczyński w Rio Grande do Sul (Brazylja). Z nadesłanych w liście rekomendowanym 25 milreisów, papierowymi banknotami, jeden banknot: 20 milreisów z portretem cesarza Don Pedra, nie ma u nas wartości i wymienić go nie chcą, gdyż banknoty te wycofane są już z obiegu. Za drugi banknot: 5 milreisów otrzymaliśmy tylko 1 złr. 64 ct., co nie wystarcza nawet na kwartalną prenumeratę. Mimo to posełamy Panu numera „Gońca i Iskry“ z „Wesołym Kurjerkiem“ z początku bieżącego i końca zeszłego roku, prosząc o nadesłanie rocznej prenumeraty, która do południowej Ameryki wynosi 25 franków. Gdy resztę prenumeraty odbierzemy, prześlemy i premie — zaś banknot 20 milreisów, nie mający dla nas żadnej wartości, możemy w każdej chwili panu odesłać.

K. W. Z nadesłanych *Wrażeń* wierszowanych, trzecie: *Wystawa kwiatów* zużytkujemy w jednym z najbliższych numerów „Wesołego Kurjerka“.

Pan Feliks Laksberger ajencja w Krakowie. Należy nam się od Pana zaległa prenumerata za czas od 1. marca do 1. grudnia 1896 r., co wynosi 6 złr. Darowizny z tego robić nie możemy i żądać tejżej od nas nie zgodzi się.

Pan Schreiber — właściciel dóbr w Drohobyczu, za czas od 1. czerwca do 1 grudnia 1896 r. należy nam się od Pana 4 złr. Zechcesz pan przesłaniem tej należytości uregulować zaległy rachunek.

Nadesłane.

Zwraca się publiczną uwagę na nowo otwarty *Hotel Bellevue,* przy ul. Karola Ludwika we Lwowie, urządzony z niezwykłym komfortem przez p. Krzysztofa Janowicza. Dla wygody zaprowadzono oprócz światła elektrycznego, także elektryczną windę i wszelkie możliwe udogodnienia, jakie tylko z postępem czasu zdobyto. Ceny nadzwyczaj umiarkowane. (6791—2—1).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Kazimierza Wiesnera ul. Akademicka l. 16